Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Srodę i w Niedzielę w objętości dużego półarkusza. Numerów pięćdziesiąt dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi R. sr. 5, k. 40. złp. 36 półroczna R. s. 3. złp. 20 kwartalna R. s. 1, k. 80. złp. 12.— Prenumerować można:

W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na Iszém piętrze.

U osób prywatnych które się tém zajmować raczą;

We wszystkich znaczniejszych księgarniach w kraju i za granicą;

Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w Królestwie; lecz tam jedynie za opłatą roczną lub półroczną.

Szan. Prenumeratorowie w Warszawie mieszkający, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty.

89.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY, FR. HENRYK LEWESTAM.

UMARLI I ŻYWI

albo Wszystkiego po trosze. Dramat w pięciu aktach przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno, nakładem Józefa Węckiego 1842.

Poezja dramatyczna jest rolą nie bardzo pracownie u nas uprawianą. Zastanawiać się nad koniecznością tego faktu, chcieć dociekać wewnętrznych przyczyn, jakie ciągle mu jeszcze towarzyszą, byłoby to zapuszczać się w niezgłębioną do tego czasu przepaść szczegółów historyczno-literackich, któreby co najmniéj daleko nas odwiodły od dzisiejszego założenia. Tyle przynajmniéj pewna, że gdy dotychczasowa nasza literatura niemało, dzięki Bogu! mieści w sobie imion najpowszechniejszego godnych uznania, w dziedzinie dramatycznéj nie posiadamy płodów, któreby z wszelką słusznością europejskiéj mogły sławy dostąpić. Te nawet dzieła, co wyszły po za znajomość zakątków, w których się zrodziły, są mniéj więcéj zgranemi naśladowaniami panującego każdocześnie zagranicznego smaku. Kiedy wszystkim zresztą gałęziom literatury pięknéj (*), bogactwem duchowém napiętnowana rodowość piękną i właściwą nadaje barwę, jedna gałąź dramatyczna, tropicznemi tylko krasi się liśćmi. Rzecz ta tém bardziéj ma prawo nas zastanowić, ile że w naszéj społeczności bynajmniéj niebrak na żywiołach pociesznych i komicznych.

Z żyjących dwaj tylko pisarze dramatyczni zasłużyli na trwałość więcéj niżli chwilową; są to: *Fredro* i *Korzeniowski*. Pierwszy lekkim swoim talentem, raczéj do ułożenia sytuacyi, niż do charakterystyki uzdolnionym, w krótkim czasie stał się ulubieńcem publiczności na scenie; drugi za przedmiot obrał sobie poważne zdarzenie, kreślił dramata i tragedje, a językiem poetycznym nieraz stanął na równi z bohaterami których opiewał. Jedna jest wada w Fredrze, któréjby się wszakże łatwo pozbyć potrafił: pewne opuszczenie się i zdanie na wolę wiatrów, to co Francuzi przez *laisser-aller* wybornie tłómaczą; jedna jest wada w Korzeniowskim, jaka mu już na zawsze zo-

(*) Nie zaś wszystkich *naukom*, jak tego wymaga p. *Bochwic* i jego zwolennicy.

stanie: naciągnięty i gwałtem nastrojony zmysł poetyczny, który często ten sprawia skutek, iż go niejako na szczudłach kroczącego widzimy. Jego *Aniela* byłaby nawet dziełem bez skazy, gdyby w niéj saméj nie było Anieli.

Dalecy przecięż jesteśmy od uwłaczania uznanemu talentowi p. *Józefa Korzeniowskiego.* Dramat, który obecnie leży nam przed oczyma, jak wszystko co wychodzi z pod pióra tego znakomitego pisarza, pełny jest pięknych połysków w rozwijaniu charakterystyki, jakkolwiek mniéj do nas w zbyt sztucznie ułożonym planie przemawia. Rzecz dzieje się we Włoszech krainie trucizny i morderstw *par excellence.* Hrabia *Monti*, ujęty wdziękami pięknéj wdowy *Dyany di Volano*, widocznie własną zaniedbuje małżonkę, a gdy ta w skutku źle zawdzięczonéj miłości coraz więcéj na zdrowiu zapada, niecny hrabia na poradę niegodnéj kochanki śmierć jéj przyśpieszyć postanawia. Ale i nieszczęśliwa *Lucja* ma swoich przyjaciół. Czuwa nad nią cnotliwy *Gonzago*, który wraz z *Fabiem*, poetą i drugim wielbicielem Dyany, podsłuchał rozmowę obojgą potworów. Gonzago, doświadczony i stary, przemyśliwa o środkach zaradczych, gdy tymczasem zapaleniec Fabio, niemogąc przenieść na sobie tak okropnego sekretu, przed samą Dyaną z nim się wydaje. Smierć jego staje się nieuchronną.

Hrabia za narzędzie zbrodni wybiera starego lekarza, *Tomasza Gianozzi*, z nauki i biegłości w swéj sztuce powszechnie słynącego. Ale Gianozzi nie da się użyć za narzędzie. Oburzony bezecną propozycyą Montego, chce opuścić Ferrarę i po całéj Italii hańbę jego rozgłosić. Zwraca go z tego zamiaru Gonzago, który radzi, iżby zamiast trucizny dał Lucyi jaki napój usypiający, iżby ją potém pozornie pochowano, a istotnie iżby ją ukryto w bezpieczném ustroniu. Gdy się to dzieje, zemsta Dyany dotyka Fabia; kilku Brawów napada go na ulicy i rani, — nieszczęśliwy zaledwie że zdołał ujść do mieszkania lekarza. Gonzago względem niego tych samych używa fortelów: powszechnie śmierć jego rozgłaszą, a stary Tomasz na nim zarówno błogich skutków swéj sztuki doświadcza. Kiedy więc widzimy ocaloną Hrabinię w spokojności wiejskiego ukrycia, wraz z przyjaciółką Klaudyą, zmarłego Fabia kochanką, grzeszną parę w pałacu tymczasem dręczą zgryzoty sumienia. Fabio ukazuje się Dyanie w postaci groźnego ducha, Lucya hrabiemu jako poseł wieczności. Rzetelna ich ogarnia skrucha: dobra Lucya mężowi przebacza; Dyana wchodzi do klasztoru (z którego ją potém pewien śpiewak uprowadza), a Fabio, zupełnie odwiedziony od miłości ku owéj poczwarze, w związku z Klaudyą upragnionego szuka szczęścia.

Treść tego dramatu, jak widzimy, nie jest nadzwyczajną; intryga nie nowa; sytuacye dość pospolite. Ale p. Korzeniowski jak zawsze tak i tutaj celuje w dobitném malowaniu charakterów, w przedziwnéj delikatności dyalogów. Hrabia Monti jest człowiekiem bez zasad, chwiejącym się ciągle z jednéj strony na drugą, nie znającym innéj władzy nad władzę zmysłów, innego prawa nad prawa rozkoszy. Niestałość jego równie jest wielką w złém jak i w dobrém: kto umiał opanować jego żądze, ten i rozum i serce jego opanował. Dyana jest jedną z owych zalotnic, które na nic nie zważają, byleby chuci swe zaspokoić zdołały; Dyana jest jedną z owych kobiet, przy których nam się przypomina dawne przysłowie: że niewiasta nie będąca na wpół przynajmniéj aniołem, więcéj niżli całkowitym staje się djabłem.

Chcąc dowieść czytelnikom, jak wybornie p. Korzeniowski umiał wyrazić wszystkie odcienia tego ohydnego charakteru, przytaczamy ustęp rozmowy między nią a Fabiem, który podsłuchawszy bezecny plan Dyany, obraził ją w obecności Hrabiego i zato od tegoż został wyzwany. (Akt II, scena pierwsza).

»*Dyana* .... A teraz powiédz mi, Fabio, nie domyślasz że się, po com cię wezwała?

Fabio. Domyślać się chęci takiéj jak ty kobiéty, byłoby to jedno, piękna Dyano, co patrząc na jastrzębia wiszącego w obłokach....

Dyana. (śmiejąc się) Zmiłuj się! jakież drapieżne porównanie.

Fabio. Mógłbym znaleść daleko łagodniejsze, bardziéj pasterskie i wiośniane; mógłbym cię porównać do skowronka wiszącego w powietrzu; ale cóż! nie będzie podobieństwa.

Dyana. Niepotrzebnie to mówisz. Wiem, jak umiesz być grzecznym (Fabio kłania się). Dość tego. Teraz słuchaj, co ci powiem.

Fabio. Słucham.

Dyana. I słuchaj uważnie.

Fabio. Słucham uważnie.

Dyana. Fabio! nie śmiéj się; nie igraj z memi słowami. Są chwile, które wplatają się w całą osnowę dalszego życia, jak nić czarna lub złota. Jedną z takich chwil jest dla ciebie chwila teraźniejsza.

Fabio. To znaczy, że od niéj zależy przyszłe moje szczęście lub niedola. To co innego. Zaczynam słuchać uważnie.

Dyana. Tak i powinieneś. — Obraziłeś mię.

Fabio. Więc jesteś obraźliwa? żal.

Dyana. Obraziłeś mię dwojako. Podsłuchałeś mię jak śpieg, i słowom niewinnym dałeś straszne znaczenie; to raz. Powtóre, w oczach człowieka, którego poważam ..

Fabio. Poważasz?

Dyana. Którego kocham, jeśli chcesz, poniżyłeś mię swojém grubiaństwem. Takie urazy krwią się zmywają. Ja jednak mogę ci przebaczyć, ale pod jednym tylko warunkiem. Odpowiadaj, czy wolisz ze mną pokój, czy wojnę?

Fabio. Gdybyśmy byli równi potęgą, wtenczas naturalnie z przyzwoitą godnością odpowiedziałbym ci: pokój za pokój, wojna za wojnę. Ale siły nasze nie równe. Tyś kobiéta młoda i piękna, a ja — tylko Poeta. Błyskawicą uśmiechu, piorunem wejrzenia uzbrojona, ty mię stokroć przewyższasz. Nie Dyano! wolę z tobą pokój niż wojnę; racz mi tylko powiedzieć, co rozumiesz przez te słowa? Pokój ma oznaczać?...

Dyana. Moją przyjaźń.

Fabio. A wojna?

Dyana. Moją zemstę.

Fabio. Twoja zemsta znaczy: szpadę Hrabiego, truciznę, lub sztylet jakiego zabójcy.

Dyana. Zgadłeś.

Fabio. Cóż znaczy twoja przyjaźń? jeszcze to słówko racz mi szczegółowiéj objaśnić.

Dyana. Bezwstydny!

Fabio. Nie gniewaj się piękna Dyano! każdy traktat powinien być jasny.| inaczéj nie będzie trwały. Cóż? — Nie chcesz? — Bądź co bądź, wybieram twoją przyjaźń. A teraz jaki warunek?

Dyana. Jesteś wyzwany.

Fabio. Jestem.

Dyana. I staniesz?

Fabio. Wybrałem twoją przyjaźń; chcę być jéj godnym i stanę.

Dyana. To właśnie jest warunkiem mojéj przyjaźni, abyś nie stanął.

Fabio. Nic więcéj.

Dyana. Abyś był dziś jeszcze u Hrabiego; abyś wybrał taki moment, gdy sala jego będzie pełną; abyś pierwszy podał mu rękę, jak gdyby między wami nigdy nic nie zaszło, abyś był uprzejmym i wesołym, a potém pożegnawszy go, przy wszystkich z wyrazem przyjaźni, abyś opuścił Ferrarę na pół roku.

Fabio. A potem?

Dyana. Potém udasz się do Rzymu lub do Neapolu.

Fabio. A potém?

Dyana (powstając z żywością). Utopisz się w Tybrze.

Fabio Tak więc twoja przyjaźń tylko uniknienie szpady Hrabiego, sztyletu lub trucizny. Daruj. — Przyjaźń ta czcza, pusta, jak orzech robaczliwy. Nie warta ofiary jakąbym zrobił, uniżając się przed człowiekiem, którego nie szanuję i którego ty kochasz. — Wolę zemstę.

Dyana. I będziesz ją miał.

Fabio. Lecz nie bez odwetu, Dyano!

Dyana. Czy podniesiesz na mnie rękę?

Fabio. Fe! mogłażeś tak myśléć? jam Poeta, Dyano — i jeżeli uniknę twoich ciosów, zemszczę się — pieśnią.

Dyana (rzuca się w krzesło). O! ciekawabym była jaką?

Fabio (biorąc lutnię i zamyśla się — po chwili). Posłuchaj, taką np. (deklamuje, przegrywając po strofach na lutni):

W pięknéj Ferarze błysła kobieta,
Jak gwiazda na niebios kole;
W jéj twarzy słodycz była wyryta,
I pokój jaśniał na czole.

Na głowie miała hebanów zwoje,
Jéj usta miłością tchnęły.
Gdy wzięła lutni, — harmonij zdroje
Z pod białéj ręki płynęły.

Jéj lekkiéj sukni fałdy uczone,
Zwinnéj kibici nie kryły;
Gdzie weszła — ku niéj oczy zwrócone,
Ku niéj się serca modliły.

I był w Ferarze poeta młody,
W śród tych, co dla niéj szaleli;
On ze łzą w oku wszedł raz na gody,
I tak ostrzegał czcicieli.

Nie wierzcie oczom, co słodko mdleją,
Nie wierzcie czarom uśmiechu;
Z ust koralowych jady się leją,
Pierś biała gniazdem jest grzechu.

Wam patrzeć na nią słodko i miło;
Was groźny wzrok jéj tak boli;
Słuchajcież co się u nas zdarzyło,
Uczcie się z cudzéj niedoli.

W pięknéj Ferarze jest Pan bogaty,
Związany śluby świętemi;
On dobroć żony cenił przed laty,
I wierzył w prawdę na ziemi.

Ale gdy ujrzał czarowne wdzięki,
Zapomniał przysiąg i wiary;
Nowe kajdany wziął z miłéj ręki,
I z jadowitéj pił czary,

Dyana (zrywa się). Dosyć — przestań; za daleko żart posuwasz.

Fabio. Koniec nie był żartobliwy — posłuchaj.

Raz gdy całował jéj białą szyję
Ona mu rzekła z pieszczotą:
Ach! twoja żona za długo żyje,
A jam okryta sromotą.

Te kilka kropel niechaj jéj żyły
Przebiegną cicho, tajemnie....

Dyana. (rzuca się nań ze sztyletem) Nikczemny, podły potwarco!

Fabio. (chwyta jéj rękę i odbiera sztylet) Pierwéj mię twoje oczy raniły, teraz chciała mię dobić ręką. Używaj raczéj twoich oczu, piękna Dyano! ich ostrze silniejsze. Obym mógł je tak ucałować, jak całuję tę rękę, która mię uderzyć chciała. (całuję jéj rękę).

Dyana. (wydzierając rękę) Znajdę taką, która będzie mocniéj trzymała sztylet niż moja. Strzeż się, abyś mię nie oskarżał o zdradę — i precz stąd. (wychodzi).

Fabio. (sam) Furya! kania w piórkach synogarlicy! szatan w czarującéj masce anioła! Rzecz niepojęta! Każde stworzenie ma swoje piętno, w którém się odbija jego natura. Z ocz tygrysa, ze szponów sępa poznać że drapieżny; spojrzyj na osła, powiesz że głupi, na wołu że leniwy, na lisa że chytry. Grzyb jadowity nie zwiedzie cię zapachem smacznego jabłka, trujący błekot nie oszuka wonią i kolorem róży. Człowiek tylko może oszukiwać. Twarz jego jest łupiną, która ci nie powié, czy pod nią ziarnko słodkie czy gorzkie, cierpkie czy kwaśne. Ugniesz kolano przed diabłem, który ci się pokaże w postaci anielskiéj dziewczyny; a złoczyńcę z zapłakanemi oczami, z pobożném westchnieniem, przytulisz do łona przyjaciela — fe! fe! obrzydły świat! bezpieczniéj, o! stokroć bezpieczniéj w lesie! (wychodzi).»

W równie żywych djalogach, z wzrastającém coraz zajęciem akcji toczy się cała treść tego pięknego dramatu. P. Korzeniowski mistrzem jest w wynajdywaniu i szczęśliwém oddaniu szczegółów, naturalność całego wrażenia bez ustanku podnoszących. Wyborną z tego względu jest scena zacisza wiejskiego, w którém zmartwychwstała hrabini wraz z Klaudyą dnie pędzi wesołe i szczęśliwe (*akt* IV *scena* 3); wyborną maskarada (*akt* V *scena* 1); wybornym opis skruchy i pokuty hrabiego (*akt* V *scena* 3). Nie możemy przewieść na sobie, iżbyśmy na zakończenie nie mieli przytoczyć małego jeszcze ustępu z rozmowy pokutującego Montego z Gonzagiem:

»*Hrabia...* Niema pokoju w przymierzu ze złym duchem. Nié ma snu, kiedy zbrodnia stoi przy łożu twojém i zaledwie przymkniesz powieki, szarpie za poduszkę i zagląda ci w oczy, zgrzytając zębami......

Gonzago. Czy ci teraz lżéj Leonardo?

Hrabia. Gdy z wieczora długo klęczę przy swéj pościeli i modlę się, zdaje mi się że duszy mojéj wyrastają skrzydła, na których ona wznosi się wysoko. Ja ze złożonemi rękami, z podniesioną głową patrzę za nią, śledzę jéj lot wzniosły i lekki — i wtenczas stan mój jest błogi. Czy to sen, czy czuwanie, nie wiem; ale nie rad jestem gdy się kończy; bo niekiedy ta istota nie cielesna przybiera twarz Lucyi, słodko się do mnie uśmiecha i do siebie przyzywa.

Gonzago. Dawnoż płakałeś, Leonardo?

Hrabia. O przyjacielu! nie często się to szczęście zdarza takiemu jak ja człowiekowi. Pókim był bogatym, oprawiałem w złoto, perły i brylanty i rozdawałem moim kochankom. Ileż pereł i brylantów oddałbym dziś za każdą łzę, która się wyciska z mojego oka. Nie, przyjacielu! dawno nie płakałem.

Gonzago. Nie naprzykrza ci się tu motłoch, Leonardo?

Hrabia. Nie nazywaj tych dobrych ludzi tak wzgardliwym wyrazem; oni na to nie zasługują. Nie wierzysz jak są miłosierni i ludzcy. Gdy tu siedzę na téj ławeczce, a oni przechodzą drogą, chciałbym aby mię ich wzrok upokorzył, aby mię lżyli słowami, aby, nazywając mię zabójcą, pluli mi na twarz i odwracali się ze wstrętem. Cóż myślisz? zamiast szyderskiego uśmiechu, postrzegam najczęściéj łzę politowania; ten mi ofiaruje czystą wodę ze źródła, ten dzieli się kawałkiem chleba, który z potem czoła zarobił; każdy chce się czémściś przysłużyć, czémściś, choćby słowem tylko, dobroć serca okazać. A przecież to ci sami ludzie, których koń mój rozbijał, których mój oddźwierny od drzwi moich odpychał, którym ja z dumą wyrzucałem czasem pieniądze, odwracając się od ich podziękowania. Czémże była dla mnie garść złota, a czém jest dla tych biédaków kęs chleba, który sobie ujmują? O! gdy to porównywam, dziwię się ich wspaniałemu sercu. Oni mi nie pamiętają mojéj pychy, mojéj pogardy, moich występków i za to wszystko odpłacają mi miłosierdziem. Wielką jest natura ludzka, zaczynam ją szanować.»

Jedna rzecz nas zraziła w tym pięknym utworze: jest to zakończenie ostatniéj sceny ostatniego aktu, które tém samém przybiera na się postać zdania tendencyjnego, jakie autor chciał objawić w swéj pracy. P. Korzeniowski w usta Gonzaga następującą kładzie perorację: »Na świecie więcéj jest daleko występnych mężów niż żon, ale mąż może się opamiętać i powróciwszy do cnoty, może powrócić żonie szczęście i pokój. Biada zaś kobiécie, która się zbłąka — dla niéj niéma drogi nazad.» — Nie wiemy, czyli tu więcéj dziwić się pobłażaniu, czyli nietolerancyi. Tyle przynajmniéj pewna, że p. Korzeniowski przy poetycznem poczęciu swego przedmiotu, nie miał na myśli, idei tak prozaicznéj.

F. H. L.